

MARIKA

Rozdział 1

Wrzesień 1989 rok

– Mamo, nie zostawiaj mnie tutaj.... – powiedziała mała dziewczynka obejmując ciemnowłosą, szczupłą kobietę w niebieskim płaszczu.

Dziewczynka miała osiem, może dziewięć lat. Ubrana była skromnie, w granatowo – białą sukienkę, białe skarpetki i czarne buciki.

Spojrzała w kierunku bramy, gdzie stojąca tam starsza kobieta starała się uśmiechać, ale srogość, która wyłobila w jej twarzy surowe bruzdy, budziła niepokój małej, może nawet strach. Odwróciła się raptownie, wpiła kurczowo palce w plecy matki i uniosła czerwone od łez oczy w górę, usiłując dostrzec w smutnym i jakby nieobecnym spojrzeniu kobiety jakąś odpowiedź.

- Tu będziesz bezpieczna – odparła cicho matka, tonem, który wydał się małej delikatny i śpiewny, jakby miała zaraz zanucić kołysankę – Wrócę po ciebie...

- Dlaczego nie możesz zostać ze mną?

- Tak trzeba. Pewni... źli ludzie chcą nam obu zrobić krzywdę i dlatego muszę na trochę wyjechać, ale wrócę i wtedy już zawsze będziemy razem.

- Kiedy?

Kobieta uklękła przed dzieckiem biorąc w dłonie małe rączki.

- Nie wiem, ale nie płacz, będzie ci tu dobrze.

-Nie chcę żeby mi tu było dobrze! – dziewczynka ponownie wybuchła płaczem.

Kobieta chwyciła małą za ramiona.... za mocno, ale po chwili opuściła ręce i zajrzała jej jeszcze raz w oczy.

- Posłuchaj. Wiem, że to trudne, ale zapamiętaj co ci teraz powiem.

Dziewczynka zasłoniła dłońmi twarz.

- Nie chcę!

- Nie bój się, musisz mnie wysłuchać. To ważne. Popatrz teraz na mnie.

Mała oderwała ze strachem dłonie od twarzyczki.

- Boję się mamó!

Kobieta nabrała głęboko powietrze do płuc.

-Wiem, że sobie poradzisz, ale gdybym długo nie wracała... – tu na chwilę przerwała –
...jeśli kiedykolwiek, teraz, albo za kilka lat ktoś przyszedł by do ciebie i zapytał... tak po
prostu: „Gdzie jest... Marika?”

- Tak?

- Uciekaj ile sił w nogach. Zapamiętałaś?

- Gdzie jest Marika?

- Tak. Ktokolwiek o to zapyta, będzie ci chciał zrobić krzywdę.

- To będą „źli ludzie”?!
- Tak. Muszę już iść.

- Jeszcze nie!

- Zapamiętaj!

Kobieta wstała i dała znak stojącej przy bramie wychowawczynie aby zabrała małą.

- Neeee! – wrzasnęło dziecko z całych sił, gdy tylko poczuło jak silne dłonie podnoszą je z
ziemi, a matka odwraca się i szybkim krokiem odchodzi.

Kobieta starała się zniknąć jak najszybciej za zakrętem. Po kilkudziesięciu krokach
zachwiała się jednak na nogach i upadła na kolana. Usiłowała szybko się podnieść, ale
zabrakło jej tchu. Na szczęście dziewczynka tego już nie widziała.

Kilkanaście lat później

ROZDZIAŁ 1

Marat Gawin, szybko choć ostrożnie, posuwał się do przodu, mimo, że las był dość gęsty. Oddalił się już co najmniej sto metrów od drogi, ale wciąż miał wrażenie, że doskonale wie, w którym kierunku ma iść, aby szybko dotrzeć do miejsca spotkania.

Jesień zrzuciła już z drzew część liści, które głośno chrzęściły pod butami, jednak Gawin nie zwracał na nie uwagi. Nie miał zamiaru ukrywać swojej obecności, nie odbezpieczył nawet broni. Odgarniał metodycznie rękami gałęzie młodych drzew rosnące na jego drodze i konsekwentnie parł naprzód. Do polanki zostało mu, jak sądził, czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów, jednak prześwitu wciąż nie było widać. Słońce wyjrzało na chwilę zza chmur, ale niewiele to pomogło. Miał przed sobą nadal niezmiennie gęsty las, cichy i ponury, w którym - na tle delikatnego szumu przemykającego między drzewami lekkiego wietrzyku - jego kroki brzmiały brutalnie, jak odgłos tłuczonego szkła. Szedł konsekwentnie w kierunku wskazywanym mu przez niewielkie urządzenie, które trzymał w prawej dłoni, na razie nie niepokojąc się na wyrost.

Marat Gawin był wysokim i szczupłym mężczyzną. Jego twarz, rześka, opalona, pozbawiona zarostu, zdradzała wyuczoną przez lata czujność, której nie zaniedbywał nawet w chwilach relaksu czy sytuacjach, kiedy czuł się bezpiecznie - jak teraz. Szeroko osadzone niebieskie oczy, gęste brwi, szarawa cera mogły mylnie sprawiać wrażenie łagodnej swojskości. Marat Gawin był wytrenowanym drapieżnikiem, obdarzonym w dodatku niebywałym talentem. Instykt rzadko go zawodził, a fakt że skończył 56 lat nie miał jeszcze dostrzegalnego wpływu na wytrenowane ciało, przystosowane do zmiennych, trudnych i niebezpiecznych warunków.

Między drzewami, niemal na wprost, zaświtała wreszcie niewielka polanka. Zwolnił kroku. Zastanowił się chwilę i zdecydował jednak wyjąć pistolet, odbezpieczyć go i schować za pasek. Na wszelki wypadek. Niepokój Andrieja przed tym spotkaniem ostatecznie go przekonał. Oczywiście był pewien swego i nie sądził, aby groziło mu jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, instykt jednak po raz kolejny uszczypnął go w policzek, zmuszając do ostrożności.

Wyszedł wolno na polankę i rozejrzał się dookoła. Wyglądała na pustą, ale był prawie pewien, że to tylko pozory. Nie mylił się. Zza drzew po jego prawej stronie wyłonił się ubrany w brązową kurtkę potężny mężczyzna. Miał przynajmniej dwa metry wzrostu, a w jego wielkich dłoniach pistolet wyglądał jak zabawka. Wymierzył prosto w Gawina uśmiechając się przy tym niemal przyjaźnie.

– Zaskoczony? – spytał po rosyjsku.

- Grigorij?! – nawet jeśli Gawin był zaniepokojony, zrećnie to ukrywał – I ty Brutusie?
 - Chyba trochę źle rozumiesz historię, Marat. To ty jesteś zdrajcą, nie ja.
 - Dla kogo teraz pracujesz? FSB? SWR?
 - Dowiesz się w odpowiednim czasie. Przykro mi, że się rozczarowałeś. Rozumiem, że spodziewałeś się Szaliapina?
 - Co z nim zrobiłeś?! – głos Gawina stał się groźny.
 - Przekonałem go, aby powiedział mi gdzie się z nim umówiłeś – Grigorij wyszczerzył zęby w uśmiechu.
 - Z akumulatorem na łądrach, jak to masz w zwyczaju?
 - No cóż – olbrzym rozłożył ręce - Po przyjacielsku nie wychodziło.
 - Nie możesz mnie zabić – stwierdził spokojnie Gawin – Nawet Szaliapin nie wiedział jak dotrzeć do Mariki. Tylko ja to wiem.
 - Kłamiesz – głos Grigorija stał się chłodny – Wiemy, że są osoby, które wiedzą co najmniej tyle ile ty.
 - Tylko nie wiesz, gdzie ich szukać? – Marat Gawin wybuchnął tryumfalnym śmiechem.
 - Zamknij się – mruknął spokojnie olbrzym – Wracamy do domu, stary przyjacielu. Do Kaliningradu jest stąd najwyżej 60 kilometrów.
 - Jak chcesz mnie zmusić żebym przekroczył granicę?
 - To moja sprawa. A co? Powiesz Polakom kim jesteś i czego szukasz? Na pewno cię przyjmą jak brata – teraz z kolei Grigorij parsknął śmiechem.
 - Nie o tym mówię kretynie. Chodzi o to, że obrażasz mnie przychodząc tu sam, bez wsparcia.
 - Nie wydaje mi się, abys mógł tak gadać w sytuacji, w której właśnie się znalazłeś. – potężny Rosjanin po raz kolejny wybuchnął śmiechem.
 - Mylisz się Grisza. Na twoim miejscu obejrzał bym się do tyłu.
- Olbrzym szybko odwrócił głowę, cały czas trzymając jednak broń wycelowaną w głowę Marata.
- Skretynieliście?! – burknął widząc kilka metrów za sobą Andrieja Gordiejewa, celującego z kolei w niego "kałasznikowem"
 - Dzień zaskoczeń i niespodzianek... – mruknął pod nosem – Jak na starym, dobrym, amerykańskim filmie.
- Grigorij pokręcił głową z dezaprobatą – Przecież i tak nie macie szans. Kopiecie sobie grób własnymi rękami. Przyszedłem tu jak przyjaciel. Odłóżcie spławy i pogadamy jak trzeba.
- Za późno, stary przyjacielu - Gawin sięgając błyskawicznie po broń ukrytą z tyłu za paskiem. Olbrzym nie zdążył się nawet odwrócić, kiedy Marat wystrzelił prosto w jego skroń. Grigorij niemal natychmiast padł na ziemię. Krew obficie wypłynęła z roztrzaskanej czaszki. Broń wypadła mu z ręki, lądując na liściach metr od ciała.
- Zwariowałeś?! – jęknął Andriej – Mogłeś mnie trafić!
 - Nie przesadzaj... - odparł spokojnie Gawin. Opuścił pistolet i podszedł do leżącego.
 - Mówiłem ci, że wiedzą o nas!
 - Miałeś rację – przyznał obojętnie - Po to tu do cholery przyszliśmy, aby to sprawdzić. Zjeżdżamy.
 - Trzeba coś z nim zrobić – Andriej wskazał na leżącego.
 - Nie mamy czasu, on rzeczywiście mógł z kimś przyjść.

- Dobrze się rozejrzałem, tu nikogo nie ma.
- A jeśli ktoś czeka na niego na drodze? Na pewno już usłyszał strzały i tu idzie.
- Im też zależało na tajemnicy. Nie sędzę, aby sprowadził tu chmarę agentów.
- Nie ryzykujemy.

Andrzej przez chwilę nie odpowiadał.

- Masz rację, spieprzajmy stąd.

Arek Skręta, rezolutny dziewięciolatek z przedmieść Skierniewic, zszedł właśnie z leśnej drogi, wchodząc między drzewa w poszukiwaniu grzybów. Zwykle bywał tu z dziadkiem, kilka razy w tygodniu, niekiedy bardzo wcześnie, o czwartej, piątej rano. Dzisiaj jednak wybrał się do lasu sam, nie budząc starego Skręty, mając jednocześnie nadzieję, że koszyk prawdziwków nazbierany samodzielnie, sprawi staruszkowi przyjemną niespodziankę. Dziadkowi coraz więcej kłopotów sprawiały długie poranne wyprawy do lasu, o czym Arek doskonale wiedział, choć obaj rozmów na ten temat raczej unikali. Rzadko również rozmawiali o przyszłości, której dzieciak szczególnie się lękał, wiedząc, że po śmierci starego Skręty, czeka go niechybnie dom dziecka. Zresztą po drugim zawale dziadka, Arek większość obowiązków domowych wzięł na siebie, ani przez chwilę nie czując się z tego powodu poszkodowanym.

Mieszkali w niewielkim, drewnianym domku przy ulicy Sosnowej na skraju lasu, kilkadziesiąt metrów od skrzyżowania z szosą do Makowa, gdzie stała tabliczka oznaczająca granicę miasta. Do centrum z tego miejsca było ponad cztery kilometry, a okolice Sosnowej zupełnie już miasta nie przypominały. Kilkadziesiąt rodzin żyjących w domach, a niekiedy w zwyczajnych wiejskich chałupach po obu stronach ulicy, uprawiało drób, bydło, dorabiało ze zbieractwa, mając jednocześnie dumną świadomość bycia obywatelami ponad pięćsetpięćdziesięcioletniego miasta, które kwitło, zanim jeszcze do Warszawy zdążyli dotrzeć książęta mazowieccy. O historię zresztą, szczególnie po '89 roku, w Skierniewicach troskliwie dbano. Odbudowano część ocalałej rezydencji carskiej, pałac, napisano kilka książek o historii miasta, a z zabytkowej stacji kolejowej Skierniewiczanie, byli szczególnie dumni, bowiem wszystkie chyba historyczne polskie i nie tylko polskie filmy ze scenami kolejowymi nagrywano właśnie tu, na jednym z przystanków słynnej niegdyś kolei wiedeńskiej. Kościół św. Jakuba mieszczący się przy rynku, przechowywał przez pokolenia i wciąż przechowuje, dokumenty pochodzące nierzadko jeszcze z czternastego i piętnastego wieku (ani myśli je oddać jakimkolwiek muzeum ziemi mazowieckiej), a wśród nich notatkę jakiegoś kupca z południa Europy z tego mniej więcej okresu, który w języku łacińskim powiadał, że właśnie wybiera się w kierunku miłośnicy Warszawa, leżącej gdzieś pod Skierniewicami.

Tutejsi mieszkańcy są święcie przekonani, że ich miasto leży idealnie w geograficznym środku Europy. Być może dlatego, przywiązujący do takich drobiazgów dość duże znaczenie towarzysz Edward Gierek, swego czasu uczynił Skierniewice miastem wojewódzkim narażając się na dozgonną niechęć obywateli pobliskiego Żyrardowa,

przekonanych o swej wyższości wobec zarozumiałych ich zdaniem sąsiadów. Był ponoć wśród nich niejaki Leszek Miller, który jednak szybko przeniósł się do Skierniewic, tam rozpoczynając swoją karierę polityczną i jak udowodniła historia dobrze zrobił, bowiem będąc żywym przykładem kompletniej nielogiczności najnowszych dziejów Polski, został po kilkudziesięciu latach premierem. Udowodniło to także jego skądinąd dość frywolną tezę, że nieważne jest jak mężczyzna zaczyna, ale jak kończy, ogłoszoną jak pewnie część polskiej populacji pamięta, na forum publicznym, ku potomności.

Arek Skręta niewiele jeszcze wiedział o historii Skierniewic, choć dziadek już kilka razy o takich sprawach wspominał. Nie zwracał sobie głowy wieloletnimi animozjami Skierniewicko – Żyrardowskimi, nie wgłębiał się, choć stary Skręta go do tego namawiał, w liczne kronikarskie opisy przygód cara i jego świty na polowaniach w tutejszych lasach, mało go także obchodziła pozycja Unii Skierniewice w trzeciej lidze piłkarskiej. Żył z dnia na dzień w swoim świecie na skraju lasu, nie czując się mimo śmierci rodziców przed kilkoma laty, dzieckiem skrzywdzonym przez los i będąc chłopcem dość pogodnym, a nawet wesołym. Kochał las i spędzał w nim większość czasu. Takiego życia również nauczył go dziadek, wpajając szacunek do natury i pogardę dla parweniuszowskiego, mieszczańskiego materializmu. Nigdy nie był w Warszawie, ani w Łodzi, bo choć Skierniewice leżą w połowie drogi między tymi miastami, a dzieli je od nich po 70 kilometrów, dziadka nigdy tam nie ciągnęło. To również go nie martwiło, choć w przyszłości, podróż do stolicy planował.

Arek znał las dość dobrze, ale były oczywiście takie miejsca, w które będąc samemu nigdy się nie zapuszczał. Nawet dziadkowi zdarzyło się w przeszłości kilka razy zgubić drogę, dzięki czemu wracał do domu dwie, trzy godziny później, więc z pewnością zawsze trzeba było uważać. Nie byłby jednak sobą, gdyby z lekka nie nagiął „przepisów” ustalonych ze starym Skrętą, więc wkroczył śmiało między drzewa, idąc w stronę mokradeł. Wszyscy wiedzieli, że właśnie w tych okolicach grzybów jest najwięcej, nie tylko z powodu mokrej wyściółki, ale przede wszystkim ze względu na upiorne tabliczki z napisem „uwaga niebezpieczne bagna”, skutecznie odstrasżające większość ludzi, szczególnie przyjezdnych. Nawet ludzie z Sosnowej, choć znali świetnie te tereny, wybierali raczej inne miejsca na leśne wyprawy. Las był ogromny i miejsca z pewnością nie brakowało. Przez lata zdarzyło się tu kilka wypadków, nawet wśród tutejszych, co dodatkowo przekonywało do omijania mokradeł. Trzeba przy tym zaznaczyć, że raczej mało kto przejmował się opowieściami pewnej dziwnej, a przy tym dość egzaltowanej mieszkanki chaty z numerem 154, o tym jak to las „zabija” i „zjada” za grzechy, na co miała ponoć wiele dowodów. Chodziło przeważnie wyłącznie o ostrożność. Zaginął nawet kiedyś w tych okolicach jeden żołnierz, czy nawet dwóch, oczywiście w czasach kiedy były to jeszcze tereny wojskowe, a na wielkiej kilkunastokilometrowej polanie przed lasem znajdował się poligon. Do dzisiaj stały również i tam tabliczki, ale z ostrzeżeniami: „Teren wojskowy. Przebywanie grozi śmiercią lub kalectwem”. Polany i lasu w całości jednak nigdy nie ogrodzono, a poligonu używano wyłącznie do ćwiczeń taktycznych i kondycyjnych, bardzo rzadko i ostrożnie ze względu na bliskość Sosnowej korzystano z broni, a z ciężkiej amunicji do czołgów czy armat – nigdy. W latach osiemdziesiątych z wiadomych względów ruch się zwiększył, pojawiło się setki łazików, transportowców, ciężarówek i wiele innych czasem dziwnych pojazdów, ale okolicznych mieszkańców, przyzwyczajonych od dziesiątek lat do podobnych „atrakcji” niewiele to obchodziło. Zakaz wstępu akurat tutaj traktowano dość pobłażliwie i gdy tylko wojsko nie szalało na poligonie, mieszkańcy Sosnowej mogli bez przeszkód wchodzić do lasu. Pewne jego części były oczywiście w różnych czasach poodcinane i ogrodzone, ale z pewnością w grzybobraniu nikomu to nie przeszkadzało.

Arek zorientował się, że chyba zaszedł zbyt daleko, bo pod nogami pojawiło się już mokre podłoże co najwyraźniej zwiastowało bliskość bagien. Grzybów jak na złość było mało, stąd być może taka determinacja chłopca w ciągłym marszu naprzód. Teraz jednak nastąpił moment, w którym odwrót był nieunikniony. Już miał zawrócić, gdy nagle w oddali dojrzał wysoką, choć przygarbioną, jak mu się wydawało postać. Najpewniej ktoś, tak jak on, rozczarowany słabym urodzajem po drugiej stronie lasu, zapuścił się aż tu, by szukać szczęścia w pobliżu niebezpiecznych mokradeł. Chłopiec zdecydował się podejść szybko jeszcze kilka kroków. Postać chyba usłyszała kroki i spojrzała w jego stronę. Dopiero teraz Arek poznał Lecha Góraj, sześćdziesięcioletniego właściciela dwóch pól pszenicznych po północnej stronie Sosnowej.

– To pan, panie Góraj?! – krzyknął dla pewności.

Mężczyzna podniósł głowę i wyteżył wzrok.

– Aaaa, to ty Arek?! – odpowiedział mu wesoło – Co ty tu robisz? Gdzie dziadek?
– Został w domu. Niech mu pan nie mówi, że doszedłem aż tutaj... Grzybów nie ma, chciałem mu zrobić niespodziankę.

Góraj machnął ręką.

– Nie przejmuj się chłopcze, ale już wracaj, bo dziadek rzeczywiście będzie się denerwował.

Arek trochę zły był na sąsiada, że go wysyła do domu, kiedy sam wciąż idzie do przodu, ale zacisnął usta i zaczął maszerować w kierunku drogi. Góraj oczywiście nie miał zamiaru zawracać i śmiało, dalej podążał w stronę mokradeł. Chłopiec zrobił może dwadzieścia kroków kiedy dziwny, nienaturalny a przy tym głośny dźwięk przypominający syk, zmusił go do odwrócenia się w stronę gdzie poszedł sąsiad. To co zobaczył spowodowało, że koszyk z grzybami wypadł mu natychmiast z ręki, a przerażenie całkowicie go sparaliżowało. Z pewnością było za późno na ucieczkę. Potężny podmuch gorącego powietrza rzucił go o kilka metrów na najbliższe drzewo, dotkliwie raniąc prawą rękę i nogę powyżej kolana. Uderzenie zamortyzowały na szczęście niskie, rozłożyste gałęzie jodły, ale mimo tego chłopiec uderzył mocno głową o konar. Nie stracił przytomności. Atak paniki spowodował, że zapomniał na kilka sekund o bólu. Wybuchnął płaczem. W nieskoordynowany sposób starał się na czworakach uciec z tego miejsca. Potężne zawroty głowy nie pozwalały mu wstać, ale adrenalina dodawała cały czas sił.

– Mamo!!! – wrzasnął przez łzy, nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego co krzyczy.

Komisarz Marek Szczęsny wyjął legitymację, aby pokazać ją dwóm policjantom, pilnującym dojścia do miejsca, gdzie leżał zastrzelony mężczyzna. Przeszedł pod taśmą i mijając ekipę pakującą do teczek sprzęt dochodzeniowy – śledczy dotarł do kolejnych dwóch mundurowych, którzy poprosili o ponowne wylegitymowanie się. Szczęsny oprócz legitymacji, wyjął złożoną wcześniej starannie kartkę, którą wręczył wyższemu od swojego kolegi stopniem, aspirantowi. Sierżant stał spokojnie, czekając na rozwój wypadków.

– Powiadomiono was, że przejmuję dowództwo? – spytał mrukliwie komisarz.

- Tak, ale obawiam się, że to niemożliwie – odparł spokojnie aspirant.
- To jest upoważnienie od inspektora Szwajcowskiego – Szczęśny rozłożył papier, wyjęty przed chwilą z kieszeni.
- Tak, ale ona ma upoważnienie z kancelarii prezydenta – aspirant wskazał palcem na ciemną blondynkę w zgrabnym, czarnym płaszczu pochylającą się nad ciałem. Miała włosy sięgające tuż za ramiona, spięte z tyłu gumką, brązowe obcisłe spodnie i wysokie, ciemno-bordowe buty. Nie zwracała uwagi na rozmawiających dwadzieścia metrów od niej, po drugiej stronie polanki, mężczyzn. Oglądała uważnie ciało, co chwila notując coś w niewielkim zeszytiku. Co pewien czas przykładła do lewego oka aparat i robiła zdjęcia.
- Niezła dupencja, panie komisarzu, co? – uśmiechnął się aspirant – Ma najwyżej trzy dychy, a już wszystkich zdążyła tu porozstawić po kątach.

Szczęśny wychylił się zza pleców policjantów, aby lepiej przyjrzeć się dziewczynie, po czym opuścił bezradnie ręce.

- Kurwa mać! – warknął przez zęby – Skąd ona się tu wzięła?
- Nie mamy pojęcia, panie komisarzu – zameldował oficjalnie sierżant.

Szczęśny minął policjantów i podszedł do blondynki.

- Co tu robisz, Ultra? – spytał zniecierpliwiony.

Agentka odwróciła się.

- Co za idiotyczne pytanie – wzruszyła ramionami, a następnie skinęła na chudego faceta stojącego dwa metry od niej pod drzewem.
- Co was może obchodzić jakiś mięśniak znaleziony w lesie? – burknął komisarz kręcąc głową – Pewnie z tutejszej mafii.
- Obrażasz mnie, Mareczku – Ultra wzięła od chudego pęsetę i menzurkę – Wiesz dobrze kto to był.
- Jest jakaś szansa, że wyjaśnisz mi dlaczego zabieracie nam tę sprawę?
- CBS zajmuje się wspieraniem i koordynowaniem działań wykonawczych jednostek Policji, w realizacji zadań dotyczących przestępczości zorganizowanej – wyrecytowała, nie odwracając się od denata - Opracowuje metody i formy zwalczania tej przestępczości. Narkotyki, ochrona świadków koronnych...
- Przestań! – uciął.

Ultra wstała i spojrzała przenikliwie na Szczęśnego.

- Czytałeś kiedyś zbiór celów i zadań wyznaczonych przez Ministerstwo dla Centralnego Biura Śledczego, w którym zresztą pracujesz?
- Wyostrzył ci się humorek na wrzesień?
- A ja czytałam. I jakoś nigdzie nie znalazłam fragmentu o martwych, byłych agentach KGB, znalezionych parę kilometrów od granicy z Roskimi!
- Ale argument!

Agentka oddała menzurkę z próbkami chudemu facetowi i ponownie spojrzała na komisarza.

- Wiesz co on robił przez ostatnie dziesięć lat? Znasz jego kumpli? Wiesz jak ich szukać? Wiesz, co powiedziec Rosjanom?

Szczęśny nie odpowiadał.

- To nie zwracaj dupy i pomóż – zakończyła.
- Nie rób ze mnie idioty – zachnął się komisarz – Faceta znaleziono sześć godzin temu i już wszystko o nim wiecie? Takie bajdy możecie opowiadać Skrobkowi. Stąd jest parę naście kilometrów do granicy, on najprawdopodobniej ledwo

wjechał do kraju. Może uciekał przed kimś i tu go dopadli, może robił interesy nie z tymi co trzeba...

- On wyjeżdżał – przerwała agentka.
- Co?
- Mówię, że nie wjeżdżał do Polski, tylko wyjeżdżał. Był tu ponad tydzień.
- Śledziliście go?

Ultra nie odpowiedziała, tylko pochyliła się ponownie nad denatem. Szczęśny wybuchnął śmiechem.

- Obserwowaliście faceta i spieprzyliście sprawę? Tuż pod waszym nosem, ktoś wam sprzątnął ruskiego Ubeka! A to dobre!
- Nie my, tylko wy – odparła spokojnie agentka, nie odwracając się od ciała.
- Słucham?!
- Nic ci nie powiedzieli... – Ultra pokręciła z niedowierzaniem głową. Wstała i ponownie spojrzała komisarzowi w oczy – My wyczailiśmy faceta, bo przez ostatnie pół roku był w Polsce jedenaście razy. Zawsze na około tydzień. Dlatego trzeba było wziąć go pod obserwację. Zawiadomione przez nas CBS zobowiązało się wspomóc nas operacyjnie, między innymi przy obserwacji tego KGBowca. Wynik masz przed sobą. Więc przysłali ciebie, abys ratował sprawę, ale jakoś w pośpiechu zapomniano ci powiedzieć, o co tu do cholery chodzi i teraz robisz tu z siebie idiotę udając, że nie wiesz kim był ten koleś.

Szczęśny zacisnął ze złości zęby.

- Coś mi się wydaje, że parę minut temu cytowałaś mi zakres naszych celów i zadań! Po cholere ta komedia? Sprawdzasz mnie? Chcesz wiedzieć jakie mam rozkazy?
- Wy mieliście go tylko śledzić! Jesteście, kurwa, Centralne Biuro Śledcze, to przynajmniej śledzić powinniście umieć! Resztą zajmujemy się my.
- KGB w dawnej formie już nie istnieje. To tylko były Ubol najpewniej wplątany w mafijne porachunki.
- Jeśli się okaże, że tak rzeczywiście było, przejmiecie sprawę. Ale wszystko wskazuje na to, że się mylisz.
- Kto tak mówi? Krentz? Bauer? Ty?
- Specjalnego śledztwa życzy sobie prezydent. Jeśli ci się to nie podoba, albo mi nie wierzysz, to poproś Szwajcowskiego, żeby zadzwonił do Maliniaka.
- Ludzie od Maliniaka, też tu są?
- Mają swoje zadania, gównu cię to obchodzi.

Szczęśny odetchnął głęboko usiłując zmienić ton.

- Dlaczego jesteś taka wściekła?
- Dlaczego?! Czy ty się kurwa naćpałeś? Nie widzisz, że twoi kumple spieprzyli sprawę, którą zajmujemy się od wielu miesięcy?! Co mamy teraz zrobić? Widzisz tu gdzieś napis: „Nazywam się tak i tak i to ja go zabiłem. A tak w ogóle, to jestem członkiem tajnej siatki wywiadowczej skierowanej przeciwko Polsce”? To byli zawodowcy. I tak cud, że zostawili ciało.
- Musieli się śpieszyć.
- Na pewno. I dodatku wiedzieli, że niewiele się tu dowiemy.
- Przecież mówiłaś, że coś wiecie o jego kontaktach.

Ultra machnęła ręką.

- Za mało. Nie wiemy, co tu kombinują, ale coś się kroi. Coś bardzo niedobrego.
- Co mamy robić? – spytał wreszcie potulnie policjant.

Ultra skinęła na chudego, aby zakrył ciało i przeszła kilka kroków w stronę, gdzie nie było ludzi. Szczęsny podreptał za nią.

- Wszystko, co tu się dzieje jest ściśle tajne. Żadnej prasy, żadnych przecieków.
- Jasne.
- Spróbujcie jak najszybciej pogrzebać w papierach i jeszcze raz przyjrzeć się niewyjaśnionym zabójstwom w tym stylu z ostatniego pół roku. Niech kilku bystrych ludzi usiądzie nad tym i wyciśnie, co się da. Może znajdą jakieś wspólne cechy, coś szczególnie charakterystycznego, wiesz o czym mówię. Uważnie obserwujcie także, co się dzieje teraz. Czystki bywają seryjne. Najważniejsze jest to, żebyście do takich miejsc docierali jak najszybciej i natychmiast je zabezpieczali, nie dopuszczając dziennikarzy. Wszystko co jest związane z tą sprawą, nie może wyjść poza nas.

– Oczywiście.

Ultra zastanowiła się chwilę.

- A w ciągu ostatniej doby...
- ...bardzo spokojnie – Szczęsny włożył ręce do kieszeni – Nie odnotowano żadnych zabójstw. Tylko w okolicach Skierniewic, jakieś czterysta kilometrów stąd, również w lesie, w dziwnych okolicznościach zaginął sześćdziesięcioletni mężczyzna.
- W dziwnych okolicznościach?
- Świadek, dziewięcioletni chłopiec twierdzi, że facet... rozpląnął się w powietrzu...
- Co to za bzdury? – skrzywiła się Ultra.
- Nie wiem, taki przeczytałem meldunek.
- Kim był ten facet?
- Tamtejszy rolnik.
- Zostaw to gliniarzom ze Skierniewic, to nie dotyczy naszej sprawy.

Szczęsny pokiwał głową.

- Idę rozdać ludziom robotę.
- Powodzenia.
- A co ty będziesz robić?
- Jak to co ? Szukać igły w stogu siana. Jak zwykle.

Adam Kniewicz siedział w bufecie przy studiu numer trzy w bloku F i opychał się napoleonką. Skończył na dzisiaj pracę. Pozostało mu jeszcze jutrzejsze wypisanie wszystkich kart emisyjnych i będzie mógł pójść na bardzo już zasłużony urlop. Nie był jednak w zbyt dobrym humorze. Odkąd przekroczył trzydziestkę nie znosił swoich urodzin, a dziś właśnie kończył trzydzieści sześć lat. Zamierzał po powrocie do domu znaleźć pocieszenie w ramionach pięknej realizatorki dźwięku Marty Karskiej, z którą

mieszkał już od ponad roku, a następnie solidnie się upić. Wiedział, że nie wypada dzisiaj wylączyć komórki, ale miał na to dużą ochotę. Co kilka minut ktoś dzwonił z wylewnościami, życząc wielkich pieniędzy, zdrowia, czasem egzotycznych podróży i prawie zawsze - stu lat, najlepiej z jedną żoną. Nawet telefon od rodziców go rozdrażnił, ale oczywiście wysłuchał wszystkiego z cierpliwością i grzecznie podziękował.

Niedawno przeczytał w jakimś piśmie, że ciało człowieka rozwija się tylko mniej więcej do trzydziestu pięciu, sześciu lat, a później - na przykład tkanki mięśniowej, może już tylko ubywać. Przeraziło go to nie na żarty, jak każda przesłanka na temat nieuchronnego wchodzenia w wiek średni, więc był w stanie rozwalić talerz z ciastkami na głowie każdej następnej osoby, która przerwie mu konsumpcję, w celu wyszczebiotania kolejnych urodzinowych banałów. Marta, młodsza o ponad dziesięć lat od Adama, wszystkie lęki o „odpływaniu młodości” kwitowała pukaniem się w czoło, uznając to za niegroźną histerię rozpuszczonego przystojniaka, przyzwyczajonego do adoracji widzów i panienek z zespołu produkcyjnego. Uważała, że z czasem to przejdzie, więc na razie dodatkowe środki zaradcze były zbędne.

Do bufetu wpadł Kazik Zarzecki - korpulentny, niewysoki blondyn, wydający popularny, choć nie zawsze zdaniem Kniewicza ambitny program „Oko kota”, na temat niezwykłych zjawisk, zwykle nie poddających się logicznej z punktu widzenia fizyki - analizie. Kazik zwykle sprawiał wrażenie energicznego detektywa, całkowicie oddanego sprawie, nad wyraz poważnie traktującego przedmiot swoich poszukiwań, jakby wyginane myślą łyżeczki, wylatujące samodzielnie z lodówki jajka, czy wychodzenie z ciała zwane naukowo - eksterioryzacją, miało zadecydować w pierwszym rzędzie o przyszłości świata. Adam lubił go. Kazik był jedną z tych przyzwoitych, nie uwikłanych w żadne układy uczciwych osób, nie mających czasu na szemranie po korytarzach, wymyślanie kolejnych intryg, czy wdawanie się w wojny „na górze” czy „na dole”. Adam liczył, że przynajmniej on, nie będzie go dziś obściskiwał, przypominając o tej smutnej i niepokojącej rocznicy.

- Adam! Spadłeś mi z nieba! – gruchnął bez wstępów przysiadając się do Kniewicza.
- Co się stało?
- Tragedia, totalna awaria, powódź, szarańcza, krew w rzekach i w ogóle...
- Spokojnie – Adam poklepał kolegę po ramieniu.
- Tylko ty... możesz się okazać manną z nieba!
- Mówiłem ci, żebyś odstawił Prozac.
- Jeśli mi nie pomożesz, to nie będę miał materiału do ostatecznego zmontowania i zabraknie minut. I wiesz co się stanie? Gruba wsadzi mi do dupy montaż numer pięć, na którym jutro o dziewiątej miałem kończyć robotę. Tak powiedziała. Będę wtedy wyglądał gorzej niż ona, bo montaż numer pięć składa się z dwóch komputerów, stołu, trzech monitorów...
- ...Dobra! – Adam uniósł ręce do góry dając znak, że się poddaje - O co chodzi?
- Kazała mi jechać do Elbląga, gdzie mam zrobić materiał o facecie, który znajduje ludzi przy pomocy osobistych przedmiotów. Nie mogę tego odpuścić. Ale wczoraj rano w Skierniewicach, zdarzyła się cholernie interesująca sprawa, którą też muszę zrobić teraz, bo temat przepadnie...
- Gruba nie może ci jakoś pomóc?
- Zwariowałaś? To dyrektor zamawiający, jutro ma nasiadówę, u szefa Jedyński.
- Mówię o tym, czy nie może ci kogoś dać.

Zarzecki zaprzeczył kategorycznym ruchem głową.

- Nie chcę żeby jechał tam jakiś gówniarz. Proszę cię, pomóż, to dobra forsa.
- Kaziu, ja jadę na urlop... – jęknął Adam błagalnie.

- Jeden dzień i masz parę złotych więcej na swój urlop, pliiiiiiiiiiiiizzz!
Knieuwicz zwiesił bezradnie głowę.
- No dobra, o co chodzi?
- Wczoraj wczesnym rankiem w lesie pod Skierniewicami zaginał tamtejszy rolnik.
- Co to może mieć wspólnego z twoim programem?
- To nie było zwykłe zaginięcie – Kazio podniósł znacząco palec do góry – Facet szedł po lesie i nagle... rozplynał się w powietrzu.
- Kaziu...
- Posłuchaj, jest świadek. Dziewięcioletni chłopak, sąsiad tego faceta, spotkał go przypadkowo w lesie i widział całe zajście. Nagle, ni stąd ni zowąd, jak mówi ten dzieciak „pojawił się dziwny duch, który zdematerializował rolnika, a jego rzucił dobrych parę metrów na pobliskie drzewo.”
- Dziewięcioletni chłopak ze wsi opowiedział ci o dematerializacji?
- No nie używał dokładnie takich słów, ale dokładnie opisał co się stało. Poza tym Skierniewice to pięćdziesiąt tysięcy miasto, a nie wieś.
- Kiedy z nim rozmawiałeś?
- Nie rozmawiałem – zaprzeczył Kazio – Wiem to od znajomych gliniarzy. Nadają mi każde takie zdarzenie. A to akurat, dlatego tak późno, że w Skierniewicach. Zanim doszło do Warszawy, trochę minęło.
- Gdzie jest chłopak?
- Wczoraj cały dzień był w szpitalu, na obserwacji, ale teraz podobno już jest w domu. Zdrowo się poharatał, no i był w szoku. Ledwo doczłapał do chałupy, ale nic poważnego mu się nie stało.

Adam podniósł do góry brwi.

- Ty chyba nie wierzysz w tę historię?
Kazio rozłożył ręce.
- Sam sobie tego nie zrobił. Jest poobijany, przestraszony, a rolnik zaginał. Trzeba sprawdzić.
- Słuchaj ja raczej siedzę w polityce... – próbował się bronić Knieuwicz.
- Nie ściemniaj. Trzy lata byłeś reporterem, poza tym robiłeś sport i programy dla niepełnosprawnych.
- To co innego.

Kazio wstał i rozłożył ręce.

- Trudno – mruknął smutno – Smacznego, muszę iść.
- Dobrze, już dobrze – Adam pokazał mu, aby z powrotem usiadł – Co z ekipą?

Zarzecki spojrział na zegarek.

- Jest... pięć po drugiej. Zdasz zjeść obiad, a o trzeciej samochód i ekipa będzie czekała na ciebie w „białym domku”

„Białym domkiem” dziennikarze nazywali bazę operatorów kamer, światła i dźwiękowców na tyłach bloku F.

- Kto kręci? – spytał Adam
- Żukowski.
- Dobrze. Daj taśmę i zejdź mi z oczu. Gdzie mam oddać materiał?
- Na „piątkę” do Kasi. Adres Sosnowa 141, Skierniewice. Nazwisko: Skrepta. Razem ze zdjęciami w obie strony wyrobisz się do siódmej. I nie bądź taki gburowaty, ja też nie lubię własnych urodzin.

Major Krzysztof Bauer, zastępca dowódcy Agencji, siedział wygodnie na kanapie i słuchał meldunku. Jego szczupła, opalona twarz, skupiona, ale pozbawiona niepokoju, robiła wrażenie nieznacznie uśmiechniętej, co było wyrazem raczej miłego obycia majora, niż rozbawienia czymkolwiek, co właśnie usłyszał. Spoglądał co pewien czas to na Ultrę, to na pułkownika Piotra Krentza – swojego szefa, siedzącego właśnie za biurkiem, obecnie zajętego notowaniem w swoich papierach tego, co mówiła agentka.

Krentz miał na sobie ciemną marynarkę opinającą szerokie ramiona, spod której wystawał czarny pulower, oraz brudno zielone spodnie. Spoglądał znad dokumentów przez lekko przyciemniane okulary, które zdejmował bardzo rzadko. Na rewelacje Ultry reagował jak zwykle - opanowaniem i chłodną analizą faktów, wspartą od czasu do czasu sugestią, co do dalszego postępowania lub błędów. Głęboki, spokojny tembr głosu nie zmieniał mu się już od ponad pół godziny, a właściwie, jak właśnie pomyślał złośliwie Bauer, od ponad dwudziestu lat, czyli od czasu kiedy się poznali. Obaj przekroczyli już pewien czas temu pięćdziesiątkę, więc przy ledwie trzydziestoletniej Ultrze, mogli uchodzić za historię tak zwanej myśli wywiadowczej oraz sił specjalnych i ta właśnie refleksja spowodowała, że major niespodziewanie parsknął śmiechem.

- Coś cię tu rozbawiło, Krzysztof? – mruknął szorstko Krentz
- Nie, nic – machnął ręką Bauer – Wybacz, ale przypomniałem sobie czasy kiedy... zresztą nieważne. O czym to mówiliśmy?
- O tym, że prezydentowi bardzo nie podobało się, że na naszym terenie rozwalono agenta SWR, którego w dodatku obserwowaliśmy – pułkownik wciąż był spokojny, ale w jego głosie major wyczuł pierwsze oznaki rozdrażnienia.
- Panie pułkowniku – wtrąciła Ultra – Wiem, że skoro dopiero teraz zostałam przydzielona do tej sprawy to może... – na chwilę przerwała – Chodzi mi o to, dlaczego nasi chłopcy oddali faceta tym z CBS?

Krentz nie odpowiedział od razu. Skarcił w międzyczasie wzrokiem Bauera usiłującego zapalić papierosa i wstał powoli z krzesła.

- Chodziło tylko o obserwację – mruknął wyjaśniająco – Cały dowcip polegał na tym, że to było bardzo łatwe. Ten Rusek najprawdopodobniej wiedział, że jest śledzony i nic z tym nie robił. Był doświadczonym agentem i mógł starać się jakoś zniknąć wszystkim z oczu, a jednak przez pół roku olewał to. Wjeżdżał i wyjeżdżał z Polski z napisem na czole – „tu jestem!”.
- Tak jakby chciał, aby go śledzono – odpowiedział Bauer
- Dlatego bez problemu mogliśmy go odpuścić gliniarzom i czekać – zakończył pułkownik.
- Po co tak robił? – spytała zdezorientowana Ultra
- Nie wiadomo – odparł Krentz – Myślę, że miał tu coś do załatwienia, a z nami na karku, być może czuł się bezpieczniej.
- Kogo mógł się tu obawiać?
- No właśnie. To jest pytanie, na które przede wszystkim musimy znaleźć odpowiedź. Sądzę, że to jest klucz. Raczej nie chodzi tu o sprawy wywiadu, działania przeciwko Polsce, czy jakiegokolwiek podkopy pod nas. Z pewnością starałby się wtedy ukryć i niewykłuczone, że na pewien czas by mu się udało. Możliwe... – tu pułkownik przerwał na chwilę – Możliwe, że on chciał nam coś

pokazać, albo dokądś nas doprowadzić. Jednym słowem, nie przejeżdżał tu, aby bruździć, ale w czymś... pomóc. I to mnie najbardziej niepokoi.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Bauer zaczął ni stąd ni zowąd poprawić się na kanapie, jakby nagle zrobiło mu się niewygodnie, a Ultra pośpiesznie weryfikowała wszelkie swoje dotychczasowe teorie, nijak niestety nie pasujące do tego, co tu usłyszała.

- Wiem, co myślisz - kontynuował Krentz - W jakimś sensie to nasz błąd. Przez kilka miesięcy wszystko było w porządku, aż w którymś momencie miał coś ważnego do załatwienia i urwał im się jak chciał.
- Znaleźli go najwyżej kilkanaście minut po zabójstwie – zauważyła agentka.
- To tylko potwierdza naszą wersję wypadków. Traktował gliniarzy jak swego rodzaju ochronę, choć może nie do tego stopnia, aby podsłuchiwać, co miał do powiedzenia swoim przyszłym zabójcom.
- Jesteście pewni, że spotkał się z nimi dobrowolnie? – spytał milczący przez dobrych kilka minut Bauer.
- Ślady wskazują, że na polankę w lesie przyszedł sam, inną drogą niż pozostali uczestnicy spotkania, których było jeszcze dwóch – wyjaśniła Ultra – Ci pozostali dwaj też nie przyszli razem, ale razem odeszli. Śpieszyli się. Możliwe, że nawet nie mieli czasu, aby go przeszukać, zresztą nic przy sobie nie miał. Zostawili dwie łuski, to duży błąd, a zabito go z nietypowej broni.
- Jakoś nie wierzę w ich błędy. Jeśli zostawili łuski to być może tak chcieli, albo nie miało to znaczenia.
- Znalezione pociski? – spytał Bauer
- Jeden utkwiał w pniu mózgu, drugi przebił czaszkę na wylot – odpowiedziała agentka - Tego drugiego jeszcze nie znaleziono, pierwszy wystrzelono najprawdopodobniej ze... starego Margolina. Trochę dziwna broń jak na współczesnych agentów ruskiego wywiadu. Jakby się facet urwał z zawodów strzeleckich. Ruscy spopularyzowali tę broń już w latach 50 -tych i 60 - tych, na Igrzyskach Olimpijskich...
- ...Wiemy, wiemy – odpowiedzieli niemal równocześnie Krentz i Bauer.
- Przepraszam – Ultra zacisnęła mocno usta.
- Nie szkodzi – rzucił szybko pułkownik – Co tak cały czas stoisz? Usiądź wreszcie.
- Nie, dziękuję.
- Na pewno?
- Tak.

Krentz ponownie usiadł za biurkiem.

- Pamiętasz Krzysiek takiego faceta, który pojawił się u nas w połowie lat dziewięćdziesiątych... Był znanym miłośnikiem właśnie tej broni – tu uśmiechnął się nieznacznie - Znał nawet całą historię głównego konstruktora – niewidomego, tajemniczego pana Margolina. Potwierdziło to kilku naszych agentów. Nazywał się chyba...Kołyński, Kołynow...
- Kołynin – dopowiedział Bauer – Aleksander Kołynin. Wyglądał na jednego z „satelitnych”, po wyprowadzeniu wojsk rosyjskich. Przepłoszyliśmy go, ale później się okazało, że uczestniczył w akcji Progress w latach osiemdziesiątych, a to już grubsza sprawa, więc wzięliśmy go poważnie pod lupę – wyjaśnił agentce – Później jednak już się nie pojawił.
- Akcji „Progress”? – Ultra starała się szybko odnaleźć w pamięci odpowiednie fakty.

- Nie twoje czasy, ale musisz trochę uzupełnić wiedzę historyczną – odparł rzeczowo Krentz – KGB pod koniec lat sześćdziesiątych wpadło na pomysł, aby w krajach bloku sowieckiego umieszczać agentów, którzy podając się za osoby przyjeżdżające z Zachodu, starały się przenikać do podziemia antykomunistycznego. Udawali artystów, dziennikarzy, często działaczy katolickich. Nazywano ich „nielegalnymi”. W Polsce zaczęto akcję dopiero po dojściu do władzy Gierka i skupiono się przede wszystkim na kościele. Szczególnie zależało im na dotarciu do najbardziej zdaniem Rosjan wpływowego kapłana czyli Karola Wojtyły. Dwóch agentów o pseudonimach „Bogun” i „Filozof” miało za zadanie kontrolować go, blisko zaprzyjaźniając się z jego otoczeniem.
- Udało się? – spytała Ultra
- „Bogun” czyli Giennadij Bliablin dotarł do osobistego asystenta kardynała, ks. Andrzeja Bardeckiego, ale prawdziwy problem zaczął się dopiero po wyborze Wojtyły na papieża. Rezydentem KGB w Polsce był wtedy Witalij Pawłow. Ściągnięto wówczas do Polski dziesiątki „nielegalnych”. I tak w 1980-tym pojawił się w Krakowie, a później w Warszawie pan Aleksander Andriejewicz Kołynin udający francuskiego dziennikarza. Był wówczas bardzo młody, miał 27 lat.
- Długo u nas był?
- Ciekawostka polega na tym, że dość krótko. Wyjechał chyba jeszcze przed, albo tuż po wprowadzeniu stanu wojennego i to w dość tajemniczych okolicznościach.

Ultra spojrzała z zaciekawieniem na Krentza.

- Interesujące jest to – ciągnął pułkownik - Że związał się tu z pewną studentką z NZS i...zakochał się.
 - Poważnie?
 - Jak najbardziej.
 - Agent?! – dziewczyna mało nie wybuchła śmiechem.
 - Agenci to też ludzie – rzucił z kanapy Bauer – Nie każdy jest taką superwoman jak ty.
- Może taki był plan – Ultra starała się ukryć zawstydzenie jak najszybciej wracając do głównego wątku.
- Jego przełożeni byli innego zdania – wyjaśnił Krentz – W dokumentach, które jak to oficjalnie mówimy – „przejęliśmy metodami operacyjnymi”, było napisane, że „stracił chwilowo możliwości psychiczne kontynuowania akcji”.
 - Nawalił?
 - Nooo, za to by dostał „czapę”. Odpowiedni ludzie w porę się zorientowali, że trzeba przerzucić gówniarza do bazy, aby złapał trochę oddechu. Zresztą miał zajmować się tylko studentami. Jego „powrót” do Francji nikogo nie zdziwił. Został zdemaskowany.
 - Uuu...
 - Swoją drogą musiał mieć niezłe plecy, skoro przyjechał tu później po latach.
 - Wiadomo po co?
 - Musisz zajrzeć do papierów, dokładnie nie pamiętam.
 - Było kilka teorii – przyszedł z pomocą Bauer – Jedna z nich głosiła, że po prostu do tej dziewczyny – major rozłożył ręce – Bardzo romantyczna sprawa. Po tylu latach...

Na twarzy Ultry ponownie pojawił się uśmiech.

Bauer zareagował miną, wyrażającą zdecydowane oburzenie.

- Mówiłem ci Piotr, że twoja wychowanka to wyperfumowany drut kolczasty. Obce są jej wielkie uczucia i nie rozumie drugiego dna skomplikowanych stosunków polsko – radzieckich.
- Nie kpj – skarcił go Krentz – Trzeba sprawdzić na wszelki wypadek, co się teraz dzieje z panem Kołyninem.
- Czy przypadkiem nie powrócił do łask? – spytała Ultra.
- Przede wszystkim, czy przypadkiem znów nie odwiedził ostatnio naszego pięknego kraju.

Dopiero po dobrym kwadransie kierowca znalazł dom 141 przy kompletnie nielogicznie ponumerowanej ulicy Sosnowej i Adam Kniewicz mógł wreszcie wysiąść z samochodu. Ulica była dość wąska, ale świeżo wyasfaltowana. Od wielkiej ściany lasu dzieliły ją pola uprawne, niewielki, najwyżej „kilkudziesięciodrzewny” las, w którym kiedyś stał domek jednej z tutejszych rodzin, i oczywiście poligon. Odkąd rodzina ta wyprowadziła się do centrum Skierniewic, ich chałupa, żeby było śmieszniej – pomalowana niegdyś na kolor niebieski, zaczęła się powoli rozpadać, aż po kilkunastu latach nie pozostał po niej ślad. Jej resztki przydały się najprawdopodobniej do ogrzania domów sąsiadów, bo przecież większość używała do tego celu węgla i drewna. Centralne ogrzewanie było znakiem dalekiej przyszłości.

Mały las, był od czasów wojny ulubionym miejscem zabaw dzieci w Sosnowej, a właścicielka - symbolem twardej walki o prawo do spokoju w pobliżu własnego domu. Kilka razy dziennie można było zobaczyć jak biedna kobiecina wybiega z miotłą z domu i goni sforę nieznośnych bachorów podkładających jej pod płótek kapiszony, petardy, czy inne źródła uciech złośliwych małych. Robienie jej na złość, było poniekąd tradycją na Sosnowej, przekazywanej z ojca na syna. Dlatego gdy gospodyni wyprowadziła się wraz ze spokojnym, nikomu nie wadzącym mężem i córką, zrobiło się smutno. Po kilku latach przyszła wiadomość o jej śmierci. Dziś, dzieci jakoś omijają mały las jako miejsce zabaw, a z wesołego niegdyś centrum rozrywki pozostało tylko smutne, ponure i opuszczone skupisko kilkudziesięciu drzew.

- Poczekajcie, sprawdzę co i jak – rzucił Adam w stronę ekipy.

Chłopcy pokiwali leniwie głowami, licząc na to, że szef będzie załatwiał sprawę na tyle długo, aby można było się trochę zdrzemnąć. Adam nie zdążył jednak nawet dojść do bramy, kiedy w drzwiach niewielkiego domku pojawił się starszy, niewysoki pan. Pokonał nie bez trudu trzy schodki i podszedł do furtki otwierając ją dziennikarzowi. Wydał się Kniewiczowi chorobliwie blady. Poprawił zaczesane do tyłu siwe włosy i uśmiechnął się z wysiłkiem. Choć sprawiał wrażenie zmęczonego, dało się wyczuć w jego gestach zdecydowany wysiłek włożony w ukrycie, być może choroby, ale Adam nie chciał o to pytać.

- Dzień dobry – przywitał się uprzejmie – Jan Skręta, dzwoniło do nas w Warszawy, wszystko wiemy.

Dziennikarz podał mu rękę.

- Jak się czuje wnuk?

- Dziękuję, że pan pyta. Jest wystraszony, ale ogólnie chyba nieźle. Ma kilka sińców i zadrapań.
- Może jednak odłożymy to na kiedy indziej? – spytał ryzykownie Kniewicz.
- Myślę, że dobrze mu zrobi rozmowa z panami – odparł Skręta - Cieszył się, że przyjdziecie. Ma, jak sądzę, dużą potrzebę wygadania się komuś o dużym autorytecie, a telewizja idealnie do tego pasuje.

Sposób wypowiedzania się gospodarza nie pasował Adamowi do schematu chłopca z przedmieść niewielkiego miasteczka.

- Pan jest rolnikiem? – spytał delikatnie.
- Niezupełnie. Teraz jestem emerytem, ale kiedyś pracowałem w Instytucie Sadownictwa u profesora Pieniążka. Jestem biologiem. Zapraszam do środka.

Adam machnął ręką w kierunku samochodu.

- Trochę potrwa zanim wyniosą i ustawią sprzęt – wyjaśnił starszemu panu – Będzie chwila czasu na swobodną rozmowę.

Skręta pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym podreptał w stronę drzwi wejściowych. Parter domu składał się z trzech pomieszczeń; sypialni, dużej kuchni i - również sporego - pokoju, do którego gospodarz wprowadził gościa, a następnie poprosił, aby usiadł przy stojącym na środku okrągłym stole. W rogu stał telewizor, na jednej ze ścian zawieszono były pułki z książkami, na drugiej - spory obraz przedstawiający samotną, drewnianą chałupę na tle potężnego lasu. Podłoga była drewniana i swojsko skrzypiąca. Na górze, jak wyjaśnił pan domu, była tylko łazienka i strych. Całość sprawiała miłe wrażenie spokojnego, przytulnego domostwa.

- Arek spał, kiedy panowie przyjechali - uśmiechnął się stary Skręta – Ale teraz z pewnością się obudził i zaraz przyjdzie.

Do pokoju jednak jako pierwsza weszła trzyosobowa ekipa Kniewicza, niosąc kamerę, stojak, lampy, blendę i monitor. Adam wydał szybko potrzebne dyspozycje, oceniając z którego miejsca, zdjęcia wypadną najlepiej, nie chcąc tracić później na to czasu podczas rozmowy z dzieciakiem. Chciał z nim porozmawiać jeszcze przed filmowaniem, aby możliwie najdokładniej zorientować się, czego się może spodziewać, po tej dziwnej i raczej dość nieprawdopodobnej historii.

Do pokoju wszedł niewysoki blondynek, wyraźnie onieśmiewiony dużą liczbą gości. Spojrzał pytająco na Skrętę, po czym szybko usiadł naprzeciwko Adama.

- Dzień dobry... – powiedział cichutko i znów spojrzał na dziadka, jakby oczekiwał pomocy.
- Proszę się nie zrażać – poprosił stary Skręta gładząc wnuczka po głowie – Jest nieśmiały.
- Ooo, my tak łatwo się nie zrażamy – uśmiechnął się Kniewicz. Spojrzał jeszcze raz uważnie na chłopca i odczekał chwilę, zanim zadał pierwsze pytanie.
- Zanim włączymy kamerę – zaczął starając się przybrać jak najbardziej ciepły ton głosu – Chciałbym, abyś po prostu nam o tym opowiedział. Zgadzasz się?
- Nie wiem, czy potrafię – odparł cicho chłopak
- Jestem pewien, że tak. Własnymi słowami, spokojnie.
- On zniknął – Arek poprawił się nieśmiało na krześle.
- Może od początku – uśmiechnął się Adam – Poszedłeś do lasu i....
- Poszedłem w stronę... – przerwał na chwilę.
- Bagien – dopowiedział dziadek – Nie bój się, już się nie gniewam. I mów „poszedłem”.
- No więc poszedłem tam, gdzie mokradła, ale nie za blisko, bo grzybów nigdzie nie było, a chciałem dziadkowi niespodziankę zrobić.

- Rozumiem – pokiwał głową Kniewicz - I tam spotkałeś pana...
- Góraj – dopowiedział dziadek.
- Właśnie. Tam spotkałeś pana Góraj?
- Tak. Chwilę... trochę rozmawialiśmy i ja chciałem wrócić, on dalej szedł na te mokradła. I nagle usłyszałem taki straszny... jakby syk. Jakby coś gdzieś wciągało powietrze. Odwróciłem się i zobaczyłem nad panem Górajem takie coś bardzo dużego... takiego... jakby ducha.
- Ducha?
- No tak. Ale tylko chwilę bo później był taki okropny dźwięk, pan Góraj znieruchomiał i po prostu zniknął – w oczach dzieciaka pojawiły się łzy.
- Spokojnie Aruś, już po wszystkim – dziadek przysunął się do wnuczka i ponownie pogładził go po głowie – Powiedz, co się później stało.

Chłopiec szybko się opanował.

- I potem ten duch zrobił się jeszcze większy i tak strasznie szybko leciał prosto na mnie i mnie rzucił tak o drzewo! – Arek natychmiast podwinął rękawy i pokazał obtarcia na łokciach i przedramionach. – Na nogach mam jeszcze gorzej.

Adam pokiwał głową dając znak, aby kontynuował.

- No i chwilę tak leżałem, bo chyba się w głowę uderzyłem. Potem tak mi się strasznie kręciło... ale próbowałem uciec.
- Ten „duch”, dalej cię gonił?
- Nie, on też zniknął. Ale tak do końca nie pamiętam bo chciałem szybko uciec.

Ekipa skończyła rozkładać sprzęt zupełnie nie reagując na zwierzenia chłopca, przyzwyczajona do niejednej takiej opowieści.

- Chcesz blendę? – spytał operator.
- Słucham? – Kniewicz wyrwał się z zamyślenia.
- Czy ustawiać blendę, czy chcesz spróbować bez „wypełniającego”? Tu jest dość jasno.
- Spróbujmy na razie bez – odparł Adam nie odwracając się od chłopca.
- Wrócił do domu w szoku – wtrącił stary Skrepta – I szybko wezwałem pogotowie, a Góraj do dzisiaj się nie pojawił. Szuka go policja.
- Co sądzą ludzie?
- Boją się. To nie pierwszy taki przypadek.
- Co?! Zdarzały się już tutaj takie zniknięcia?

Skrepta nie odpowiedział od razu.

- Zauważył pan może jadąc tutaj, taki charakterystyczny, ciemnoczerwony dom po lewej stronie ulicy? – spytał po chwili.
- Tak, drewno pomalowane na bordowo, ciężko nie zauważyć.
- Tam mieszka Hanka Betlejewska. Wszyscy mają ją wariatkę, ale ona wie na ten temat najwięcej.
- Porozmawia ze mną?
- Jeśli potraktuje ją pan poważnie, to tak. Jeśli ktoś chce powróżyć sobie z kart, postawić tarota, czy coś podobnego, to do niej idzie. Ale ogólnie ludzie trochę się jej boją. Uważa, że las zabija za grzechy.

Adam stwierdził w myślach, że chyba przyjaźń z Kazikiem Zarzeckim kosztuje go zbyt wiele, ale postanowił, że mimo wszystko przejdzie się do miejscowej wróżbitki, jeśli to miałyby w jakikolwiek sposób urozmaicić program. Spojrzał jeszcze w stronę ekipy czy wszystko gotowe i przypiął sobie mikroport.

- No dobrze – uśmiechnął się do Arka – Teraz ten wysoki pan przypnie ci do koszuli taki mały mikrofonik, żeby cię było dobrze słyszeć, dobrze?
- Dobrze.
- Potem włączymy kamerę i postaramy się wszystko ładnie powtórzyć.

Czerwony dom niejakiej Hanki Betlejewskiej stał trochę na uboczu, ale był dobrze widoczny i trudno tu było nie trafić. Na podwórku na fotelu bujanym siedziała kobieta ubrana w obszerne spodnie i dziwaczną koszulę. Miała najwyżej czterdzieści lat, co poniekąd zaskoczyło Adama spodziewającego się staruszki z różową kulą.

- Dzień dobry! – krzyknął przez płot – Jestem...
- Wiem kim pan jest – przerwała kobieta wstając z fotela – Nie wierzy pan w tę historię i nie chce pan tu być, a jednak przyszedł pan do mnie... – stanęła metr od niego wpijając wzrok w jego oczy.
- Trzeba przyznać, że robi potrafi pani zrobić wrażenie – przyznał Kniewicz.
- Tym, że mam oczy i uszy?

Adam uśmiechnął się dając znak, że się poddaje.

- Porozmawia pani ze mną?
- A będzie pan słuchał?
- Powiedzmy, że dołożę wszelkich starań.

Betlejewska przyglądała się jeszcze przez chwilę dziennikarzowi i kiwnęła głową.

- Niech pan wejdzie, pojedziemy samochodem.
- Gdzie?
- Jak to gdzie? W miejsce gdzie znikają ludzie – zbliżyła twarz najwyżej kilka centymetrów od jego nosa – Boi się pan?
- Raczej nie.

Kobieta prychnęła śmiechem.

- Powiedzmy. Wyprowadzę samochód z garażu.
- Co pani wie o....
- Nie tutaj.
- Słucham?
- Nie będziemy rozmawiać tutaj. To nie ma sensu. Pojedziemy tam i dopiero wtedy opowiem panu co trzeba. Na razie bez kamery.
- To jak to wykorzystam w programie?
- Wymyśli pan coś. Jedzie pan czy nie? Tam i tak trzeba kawał drogi przejść lasem.

Adam przez chwilę się wahał.

- No dobrze, powiadomię tylko ekipę, że znikam na pewien czas.
- Na miejscu, w które jedziemy nie wypowiadała bym raczej słowa „znikam” – kobieta ponownie wybuchła śmiechem.

Podróż samochodem minęła im niemal bez słowa. Adam układał sobie w myślach dalszy plan dnia, co pewien czas notując coś w palmtopie. Nie spodziewał się niczego specjalnie

szczególnego w miejscu „gdzie znikają ludzie”, ale uznał, że jest winny Zarzeckiemu trochę wysiłku włożonego w wyjaśnienie sprawy. W zniknięcie rolnika nie mógł wątpić i z pewnością było czego szukać w tym lesie, choć dotychczasowe wyjaśnienia ciężko dawały się nazwać sensownymi.

Po zjeździe z Sosnowej, mogli jechać już tylko ubitą polną drogą, pokrytą żwirem i rzadką trawą. Obłok kurzu jaki pozostawiali za sobą świadczył najwyraźniej, że dawno nie padało, rzadkie chmury na niebie dawały nadzieję, że jeszcze przez pewien czas będzie ciepło, a zima spóźni się tego roku, na co Adam szczerze liczył.

Po dziesięciu minutach jazdy, Betlejewska zatrzymała samochód przy drodze i pokazała miejsce, w którym należało wejść w las. Szli około piętnastu minut zanim po raz pierwszy się odezwiała.

- Zbliżamy się.
- Pani naprawdę wierzy w to, co mówi dzieciak? – nie wytrzymał Adam.
- A ma pan jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co się stało?
- Mógł ich ktoś napaść, rzeczywiście skrzywdzić Góraję z zemsty lub jakiegokolwiek innego powodu, poturbować dzieciaka i nastraszyć, że jak powie prawdę już po nim. Krążąca tu legenda jest wówczas bardzo wygodnym wytłumaczeniem.
- No widzi pan, jak to łatwo można sobie wszystko wytłumaczyć – pokiwała głową Betlejewska utrzymując przez pewien czas na twarzy ironiczny uśmiech.
- A pani dała by sobie uciąć rękę, że jest tak jak on mówił?
- Oczywiście.
- Skąd ta pewność?
- Bo ja też to widziałam.
- Co?! Widziała pani śmierć pana Góraję?!
- Nie, widziałam śmierć kogo innego, ale nastąpiła w identycznych okolicznościach.

Chwila ciszy po raz pierwszy przestraszyła Adama.

- Kto jeszcze w ten sposób zginął? – spytał niepewnie.
- Nikt ważny. Mój ukochany pies, którego wszyscy mieli w dupie – kobieta zatrzymała się – Stałam w tym mniej więcej miejscu, a on biegał między drzewami. Jak pan widzi, jest tam niewielka polanka. Właśnie tam to się stało. Stał przez chwilę, potem dziwny syk, dziwna chmura i nagły podmuch, dzięki któremu każdy wyskakuje z kapci, niezależnie od tego ile waży. Oczywiście pies zniknął tak jak stał. Nikt się tym nie przejął, bo to tylko pies. Nie było dochodzenia, a gliniarze stwierdzili, że wariatka chciała zwrócić tylko na siebie uwagę, używając krążącej tu opowieści, ale to była prawda.
- No właśnie – westchnął Adam – Od jak dawna krąży ta opowieść?
- Od ponad dwudziestu lat, ale oprócz mnie i tego dzieciaka nikt naprawdę nie widział się co tu dzieje. Ludzie po prostu wchodzili do lasu i znikali. Nikt ich więcej nie widział, najczęściej nie znajdowano ciał.
- Najczęściej?
- Dwanaście lat temu para turystów tu zaginęła, ale jedno ciało odnaleziono. Kobiety. Jej męża niestety nie.
- Tutaj?
- Nie. Jakiś kilometr stąd, z drugiej strony bagien.. Leżała z roztrzaskaną o drzewo głową. Uznano, że to morderstwo, po pewnym czasie sprawę umorzono. Jak dotychczas więcej ciał nie odnaleziono.

- Rzeczywiście sporo pani wie – przyznał Adam – A orientuje się pani jak wiele osób tutaj zginęło.
- Od pierwszej ofiary – jedenaście. Oczywiście nie liczę mojego psa.
- A kto był pierwszą ofiarą?
- Młody żołnierz. Jak pan pewnie wie, sporo ich tu swego czasu było. To był poligon. Wojsko jak sądzę jakoś by sprawę zatuszowało, ale przyjechała do niego akurat rodzina i narobiła hałasu.
- I od razu powstała legenda?
- Traf chciał, że kilka tygodni później mieszkaniec Sosnowej, nawiasem mówiąc dobry znajomy mojego ojca, nie wrócił po porannej wyprawie na grzyby. Do dzisiaj nikt go nie widział. Wtedy zaczęły krążyć pogłoski, że las jest niebezpieczny. Ale wie pan jak to jest. Po kilku miesiącach o sprawie zapomniano i znowu ludzie zaczęli chodzić na grzyby. Później odkryto, że niebezpieczeństwo czai się gdzieś w pobliżu bagien, więc mimo kolejnych wypadków ludzie chodzili do lasu, tyle tylko, że omijali bagna, wybierając dla pewności zachodnią część, a więc zupełnie po drugiej stronie drogi, którą przyjechaliśmy.
- Dlaczego pani uważa, że las zabija za grzechy? – spytał Adam
- Bo inny język do tych ludzi nie trafia – odparła sucho – I nie da się inaczej zwrócić ich uwagi, a także takich facetów jak pan.

Kobieta przerwała na chwilę i rozejrzała się uważnie dookoła.

- Jedno jest pewne. Coś tutaj zabija ludzi i to nie jest człowiek. Jeśli ktoś z tym czegoś nie zrobi... to się nigdy nie skończy.

Spojrzała na Adama starającego się szybko znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale uprzedziła go.

- No dobrze, niech pan tu podejdzie – wskazała mu korę jednego z drzew – Widzi pan?
- Co?
- Jest lekko osmalona, jakby ktoś ją tu podgrzewał.
- Jaki z tego wniosek?
- Niech pan przyjrzy się drzewom dookoła. Wszystkie wyglądają podobnie z tej strony, ale z przeciwnej wszystko jest w porządku. Warto teraz się przyjrzeć bo za pewien czas te osmalenia znikną... aż do następnego wypadku.
- W porządku – zgodził się Adam - Skąd się to wzięło?
- Widział pan ręce i nogi tego chłopaka? Były poparzone.
- Ręce miał trochę czerwone.
- Bo zasłaniał odruchowo nimi twarz. Niech pan tam wróci i obejrzy jego nogi, a jeszcze lepiej spodnie, w których był. Wyglądają jakby przypiekano je nad ogniskiem.
- No dobrze, co się więc tutaj stało?
- Ten cały duch, o których on opowiadał, to masa gorącego powietrza uderzająca z dużą siłą. On stał od Górajka ponad sto metrów, po drodze były drzewa, dlatego przeżył. Podobnie było ze mną. Ale ta kobieta, która zginęła wraz z mężem nie miała tyle szczęścia. Była zbyt blisko. Kiedy ją znaleziono, była niemal pozbawiona ubrania, miała kompletnie rozbitą głowę i była dotkliwie poparzona, a milicja stwierdziła, że było to morderstwo ze szczególnym okrucieństwem!
- Może tak było... – Adam sam niespecjalnie uwierzył w to co powiedział.

- Wie pan ile siły potrzeba, aby rozbić głowę o drzewo. To są w większości sosny i jodły. Mają miękką korę. Aby rozłupać czaszkę nawet o twardą podłogę trzeba siły silnego mężczyzny, a tutaj mózg facetki spływał po konarze drzewa!

Adam się wzdrygnął, aż ciarki przeszły mu po plecach.

- Czy teraz powie pan komuś w Warszawie, by ktoś wreszcie tu przyjechał i zbadał ten las od góry do dołu?
- Była pani u Skrętów?
- Oczywiście. Staremu też na tym zależy.